



Dokończenie ze str. 1

Z początku jednak było dość nieprzyjemnie. Zainaugurowano II Kaliskie Spotkania Teatralne współczesną polską sztuką Jarosława Abramowa p. t. „Zasada”. Słabiuteńka to sztuczka i naprawdę trudno było zrozumieć, czemu Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu zdecydował się ze słuchowiska radiowego, jaką kiedyś była „Zasada”, stworzyć spektakl teatralny. Jest to historyjka z wojny, z wojną przeciwko złości w AL, który w piętnaście lat po wojnie zdecydował się zrobić „kant”. Wszystkiemu winna była jego piękna nudząca się żona — „la femme fatale”. Polski powiatowej; strzeżmy się ładnych i młodych żon naszych dyrektorów. O tej żonie jest zresztą najmniej; autor prezentuje w formie skeczy cały życiorys bojowy dyrektora; można tę sztukę zacząć i skończyć w dowolnym miejscu, można z niej usunąć poszczególne sceny i też nic nie zaszkodzi. Nie ma więc w ogóle o czym mówić. Dodam, że pod względem aktorskim najbardziej interesującym okazał się młody aktor kaliski — Kazimierz Gawęda, a reżyserował sztukę Zbigniew Bessert.

Drugi spektakl teatru w Kaliszu okazał się bardziej interesujący. Zaprezentowano „Aniola i czarta” Fernanda Crommelyncka, mało znanego u nas belgijskiego pisarza, urodzonego w 1885 roku. Wyznaje, że sztuka ta zacięwała mnie ogromnie. Wydaje mi się, że gdyby reżyser Tadeusz Kubalski odczytał ją właściwie, byłaby to najbardziej współczesna sztuka, jaką zobaczyliśmy podczas II KST.

Bohaterem „Aniola i czarta” jest pan Ripace, choć nie ma go na scenie, nigdy go na niej nie widzimy. Poznajemy tylko jego żonę — piękną Leonę, która żyła ze wszystkimi młodzieńcami miasteczka, a także z własną pokojówką, lesbijką. Nie wiemy, co pan Ripace sądzi o swej żonie i jej postępkach. Gdy żona jego oddaje się amatorom, on wykazuje doskonałą obojętność, chrapie, aż cały dom się trzęsie. Kochankowie pięknej Leony zamyślają usunąć pana Ripace z tego świata i „machnąć” się za bogatą wdówkę, ona zresztą także gardzi i nienawidzi swego męża, bo

jest wstrętny, bo brzydko je, chrapie, nigdy nie mówi, ciągle czyta gazetę albo jeździ na polowania. Lecz nagle pan Ripace umiera. Bez niczyjej pomocy. Po prostu — umiera na atak serca. I oto w domu pana Ripace pojawia się jego... kochanka. Młoda, śliczna dziewczyna — Julia. Okazuje się, że pan Ripace tylko swej żonie wydawał się odrażający, nieciekawym, wstrętnym. Dla tej młodej dziewczyny był piękny, poetyczny, biegł z nią po murawie, pisał listy jak poeta, był czuły, wzruszający, namiętny, wspaniały.

Dwie kobiety rozmawiają

Kaliskie spotkania i nieporozumienia

o panu Ripace. O jednym i tym samym mężczyźnie. Lecz dla jednej to był „Czart”, dla drugiej „Aniol”. Sztuka Crommelyncka powiada, że żona może obok męża przeżyć prawie całe życie, a jednocześnie nic o nim nie wiedzieć. A może sztuka ta mówi po prostu że każdy mężczyzna jest inny dla każdej kobiety? Jedna kobieta potrafi z tego samego mężczyzny wydobyć warstwy najbardziej kłliwe i romantyczne, druga zaś — czyni go wulgarnym i wstrętnym? W każdym mężczyźnie jest i „Aniol” i „Czart”.

„A może my mówimy o dwóch różnych ludziach?” — woła w pewnej chwili pani Ripace. Nie, mówią o jednym i tym samym człowieku. Nigdy się zresztą nie dowiemy, jaki pan Ripace był naprawdę...

Niestety, chyba źle odczytano tę sztukę. Dostrzeżono w niej wyłącznie mechanikę narastającego mitu o panu Ripace, gdy w rzeczywistości jest to utwór o niepoznawalności człowieka, o tragicznym mijaniu się ludzi, wzajemnym niezrozumieniu, nawet jeśli ludzie ci żyją z sobą pod jednym dachem, są mężem i żoną. Spektakl ten był ciekawy także i aktorsko. Starzycka, Haj-

del, Rząsa — stworzyły sylwetki głębokie i przekonujące.

...Drugi dzień II KST przyniósł spektakl poznańskiego Teatru Satyry, trzy jednoaktówki — „Piersi Terejasza” Apollinaire, „Lekcje” Ionesco i „Karola” Mrożka. Niestety, Apollinaire zupełnie nie sprawdził się na scenie. zestawienie zaś Ionesco i Mrożka w jednym spektaklu dość ostro pokazało ioneskowy rodzaj „Karola” i chyba całej twórczości Mrożka. Tylko Ionesco wyszedł tu obronną ręką, znalazł tu doskonałego wykonawcę roli profesora w aktorze Marianie Pogaszu.

Jakże żałowałem, że podczas tego spektaklu nie było w Kaliszu nikogo z łódzkiego „7.15”. Może dałby się przekonać, że miarą ambicji tego typu teatru niekoniecznie musi być „Komedja omyłek” Szekspira, ale właśnie Ionesco. Przynosi on wielki i gorzki teatr, przynosi satyrę najwspanialszą jaką kiedykolwiek oglądałem.

Trzeci dzień II KST — to Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze z „Konduktem” Drozdowskiego i „Przedziwnym kochankiem” Corneilla. „Kondukt” na scenie (reżyserował go Marek Okopiński) wydał mi się o wiele ciekawszy niż w czytaniu. Uderzał sprawnością dialogu, wyrazistością sylwetek ludzkich, zabrzmiał świeżo — może właśnie dlatego, że jest on tak jednoznaczny, jednomyślny.

Na „Przedziwnym kochanku” Corneilla zdarzyło mi się coś zabawnego. Oto mój festiwalowy sąsiad, dziennikarz, który przez pierwsze dni KST bardzo wydziwiał, że sztuki dotychczas reprezentowane są trudne, że pewnie ich nikt nie rozumie, że trzeba grać klasycznie, bo klasyka jest dla mas — tenże dziennikarz wyszedł z teatru już po pierwszym akcie Corneilla. „No, przecież to klasyka” wołałem za nim. Ale nie wrócił. A przecież uroczą i naprawdę wspaniałą podającą tekst była w tym przedstawieniu Halina Winarska. Dla niej samej warto było znieść na scenie „Przedziwnego kochanka”. Interesująca wydała mi się także scenografia Stanisława Ba-

ton Synge? Zdaje sobie przecież dobrze sprawę z funkcji, jaką powinien spełnić teatr w tak małym ośrodku jak Gnieźno. Jego zadaniem winna być walka z małomiasteczkowym kulturowym, z marazmem, z dulszczyzną. Czemu taki teatr nie bierze na warsztat Zapojskiej, Rittnera, czy czegoś w tym rodzaju? O co chodzi, przyjaciele? Czy o to, żeby tylko wystawiać i grać? Czy o to, aby to co się gra współbrzmiało z życiem, z problemami środowiska w jakim teatr działa?

Piątego dnia II KST wystąpił Teatr Powszechny z Łodzi z „Kwiatami łódzkimi” Barbary Sowińskiej. W kołach krytyków obecnych w Kaliszu uznano występ Teatru Powszechnego w Łodzi za znaczny regres w stosunku do tego, co teatr ten zaprezentował w roku ubiegłym. Ja podpisuję się pod recenzją swojego czasu opublikowaną w „Odgłosach”. Reżyseria „Kwiatów łódzkich” Romana Sykały była solidna i pomyślna, a scenografia Józefa Rachwałskiego znacznie zyskała w mych oczach, gdy zestawiałem ją ze scenografią oglądanymi w Kaliszu. Ale po siedemnastu latach Polski Ludowej żąda się już od dramaturga nieco więcej niż do- brych intencji i politycznego zaangażowania. W teatrze bardziej może niż w innych dziedzinach sztuki uwidacznia się brak warsztatu dramaturgicznego.

Nazajutrz oglądaliśmy Teatr Dramatyczny z Warszawy z „Indykami” Mrożka, w reżyserii Zbigniewa Bogdańskiego. Uznany za najbardziej interesujący teatr polski — Teatr Dramatyczny zaprezentował tak niski poziom reżyserii i gry aktorskiej, że przez cały czas przedstawienia czulem się po prostu zażenowany. Sie działem w trzecim rzędzie, a przecież do latwało do mnie co dziesiąte słowo z kwestii wypowiadanych przez Ludwika Pąka, Józefa Durasza, czy Stanisława Wyszyńskiego. Aktorzy belkotali pod nosem, mówili w kulisy lub do siebie w sobie tylko zrozumiałym języku. Barbara Krafftówna dała zupełnie przeciętny poziom gry; najlepszy był Wojciech Pokora, choć chwilami szarżował niemożliwie. Reżyser okazał nieporadność, jak nie miał co począć z aktorem, to kazał mu stać i rozmyślać. Ani jednej dobrze rozwiązanej mizansceny. Daj Boże zdrowie prowincjonalnym teatrom.

Nie dziwię się, że Teatr Nowy z Łodzi zebrał wszystkie główne nagrody za „Historię o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”. Dali je krytycy, którzy widzieli warszawski spektakl „Zmartwychwstania”. Widziałem go także i ja — daleko mu do łódzkiego przedstawienia, do jego finezji, lekkości, wdzięku i liryzmu. Porównać te dwa spektakle, to tak samo jak byłymy chcieli zestawiać grubą podkuty buciur — z delikatnym wdzięcznym damskim pantofelkiem. Różnica ta nie polega oczywiście na reżyserii, wszak i tu i tam reżyserował Dejmek, przedstawienia obydwa są identyczne w swej koncepcji. Zaważyło aktorstwo — i tylko aktorstwo.

Sporo komentarzy wzbudziło samo zestawienie sztuk przywiezionych do Kalisza przez Teatr Nowy z Łodzi, „Obrona Sokratesa” i „Chwałebne zmartwychwstanie” — to wyłączenie inscenizacji Dejmowskiej. Złośliwi nazwali to „wskłeszeniem bez pokrycia”, bo przecież pokrycie, to znaczy sam Dejmek jest już w Warszawie. Zyczliwi dostrzegli w tym brak wiary ze strony nowego kierownictwa teatru w siły swego teatru. Sądzę, że lepiej by się stało, gdyby Teatr Nowy zamiast „Obrony Sokratesa” przywiózł do Kalisza „Brytannika” w reżyserii Minca; inscenizacja ta była już przecież gotowa. Zresztą, można było przywieźć jeszcze coś innego, co pokazałoby, że teatr posiada młodych zdolnych reżyserów, że nie zrezygnuje ze swych ambicji.

Bardzo chłodno przyjęto w Kaliszu sztukę O'Neill — „Księżyc świeci nieszczęśliwym”, w reżyserii Jerzego Rakowieckiego, którą pokazał Teatr im. Osterwy z Lublina. Mimo dużej reżyserkiej klasy i chyba dość dobrego aktor-

stwa, jakie pokazała zarówno Danuta Nagórna i Aleksander Aleksi, zaważyła chyba sama sztuka, jej problemy trochę zwierzałe. Okazuje się czymś bardzo ryzykownym grać dzisiaj O'Neill, który odnosił kiedyś ogromne triumfy.

Natomiast „Montserrat” Roberta w reżyserii Lecha Kormanickiego, spotkał się z wielką życzliwością i dużym uznaniem u widzów i krytyków. Zachwyciła wszystkich gra Stanisława Mikulskiego w roli Izquierdo. Spektakl był niezwykle jednolity, subtelny, miał bardzo dobrą scenografię Jerzego Torończyka. Myślę, że była to najlepsza scenografia jaką oglądaliśmy w Kaliszu.

Nazajutrz przedstawił się nam Teatr im. Słowackiego w Koszalinie. Najpierw pokazał „Romeo i Julię” Szekspira w reżyserii Tadeusza Aleksandrowicza. Z teatrem tym przez długi czas związany był mit, że potrafi on dobrze inscenizować Szekspira. Mit ten przysnął podczas II Kaliskich Spotkań Teatralnych.

Zupełnym nieporozumieniem okazała się także „Leonce i Lena” Büchnera wydobytą przez ten teatr w ramach koszańskich teatralnych wykonywanych archeologicznych. Nigdy w życiu nie napatrzyłem się na tyle bieżący na scenie, po schodach w tę i z powrotem, po przeróżnych spiralach — ile w Teatrze Koszańskim. Ni gdzie indziej nie widziałem tyle pretensjonalności, co w tym właśnie teatrze. Odnosiło się wrażenie, że teatr ten —

przy swych bardzo skromnych możliwościach — pragnie zadość uczynić wszystkim. Dla tego teatru warto wskrzesić pojęcie „formalizm”.

Zakończył II KST dzień poświęcony Teatrowi Polskiemu z Poznania. Oglądaliśmy najpierw Frischa „Don Juana” czyli umiłowanie geometrii. Jest to chyba najsłabsza sztuka Frischa, położył ją zresztą zupełnie Hieronim Kobięcki w roli Don Juana. Był niesympatyczny, pozbawiony wdzięku, w ogóle niedobry. Powiada Frisch w przedmowie do „Don Juana”, że don Juan nie dlatego jest niewierny, że jest niewierny, nie dlatego przechodzi do jednej kobiety do drugiej kobiety, że pragnie coraz nowej rozkoszy, lecz dlatego, że kocha geometrię bardziej od kobiety, musi więc kobiety porzucać wciąż na nowo.

Można się pod tym podpisać lub nie. Ja się nie podpisuję.

Potem oglądaliśmy „Pierwszą konną” Wiszniewskiego w reżyserii Jana Perza. Sztuka wyreżyserowana i zagrana solidnie, dużo w niej młodych aktorów, którzy wyszli z Łodzi i chyba bardzo się rozwinięli poza Łodzią. Uważają oni, że poza Łodzią też można się rozwijać, może nawet szybciej i wszechstronniej.

